

kwestii przypominają, że jubileuszowe ramy sześćdziesięciolecia stanowiły właściwą podnietę dla tych wszystkich, co pisali do tomu, co satysfakcjonująco opracowali lub przynajmniej podnieśli pewne zagadnienia.

Zbigniew Kurcz

WITOLD MOLIK, HENRYK ŻALIŃSKI: „*O nas bez nas*”. *Historiografia Polski w historiografiach obcojęzycznych*, Poznań 2007, 258 ss.

Polaków, Niemców, Anglików, Czechów i przedstawicieli innych narodów zawsze ciekawiło, co na temat ich historii sądzą inni. Co o niej wiedzą i jak ją w poszczególnych fragmentach oceniają? Polakom nierzadko zarzucano „polonocentryzm” drastycznie zawężający krąg naszych zainteresowań. Karierę zrobiło u nas zdanie o słoniu i „sprawie polskiej”.

W. Molik i H. Żaliński zebrali w jednym tomie teksty dziesięciu wystąpień dziewięciu zagranicznych historyków zainteresowanych dziejami Polski. Większość z nich to badacze bardzo wytrawni, mający na swym koncie imponujący dorobek. Książki niektórych ukazywały się w Polsce. Wywoływały żywiołową dyskusję. Należą dziś do kanonu literatury przedmiotu. Tym razem jednak cała dziewiątka starała się nie mówić o własnym dorobku, a nawet umyślnie wątek ten pomijała. Mówiła o stanie wiedzy o historii Polski w krajach, z których pochodzą lub gdzie mieszkają: w Stanach Zjednoczonych, Francji, Niemczech, Rosji, Litwie, Białorusi, Ukrainie, Węgrzech i Czechach. Polskę w tym gronie reprezentuje Małgorzata Willaume. Spod jej pióra wyszło studium poświęcone dziejom Polski w badaniach Daniela Beauvois, jednego ze współautorów tego przedsięwzięcia, autora kapitalnej pracy o *Trójkącie ukraińskim. Szlachta, carat i lud na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie 1793-1914*.

Książkę otwiera „wprowadzenie” dwóch wspomnianych historyków W. Molika z UAM i H. Żalińskiego z Akademii Pedagogicznej im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie. Ten zaledwie dziesięciostronicowy tekst uznać muszę za mistrzowski. Kto ewentualnie nie miałby ochoty ani czasu na lekturę całej pracy może spokojnie poprzestać na nim. To coś w rodzaju rozumowanego konspektu całości. Zwięzłość i celność uwag tam zawartych – podziwu godna. Rzecz specjalnie trudna do osiągnięcia, gdy pracuje się w duecie (w dodatku: krakowsko-poznańskim).

Stany Zjednoczone reprezentuje w tym gronie John J. Kulczycki. Tezę jego artykułu dobrze oddaje podtytuł: *Królestwo Nigdzie*. O historii Polski – stwierdza autor – wie się niedużo. Edukacja historyczna w Stanach sprowadza się głównie do przedmiotu „Cywilizacja Zachodu”. Polska jest tam niemal nieobecna. Z kolei w rozmaitych studiach nad historią Europy Wschodniej jest znów „przykrywana” historią Rosji i Związku Sowieckiego. Co z tego wszystkiego wynosi amerykański student? Przekonanie, że na wschód od Niemiec i Włoch „powstało wiele krajów, o których nikt nigdy nie słyszał, z wyjątkiem Polski, która pojawiała się w historii od czasu do czasu”. Najwięcej książek o Polsce ukazało się w USA w latach 80., gdy nad Wisłą trwał stan wojenny. Potem było już gorzej. W sumie zmieniło się niewiele. Tu i tam, incydentalnie pojawia się A. Mickiewicz, jakieś zdanie wtrącone, że pod względem ustrojowym przed II wojną światową przypominaliśmy Włochy, „polski korytarz”

i niewiele więcej. O żadnych kluczowych momentach naszej historii się nie mówi. Nie ma konstytucji 3 maja, nie ma powstań, nie ma wojny polsko – bolszewickiej. Żeby to zmienić – konkluduje J. Kulczycki – potrzebna jest uparta „organiczna praca”.

„Historia Polski zajmuje we Francji nader skromne miejsce” – takie zdanie otwiera wypowiedź wspomnianego już Daniela Beauvois. W rezultacie pisze on o wyjątkach i to raczej odległych: H. Grappin, P. Cazin, A. Martel, J. Fabre znany szerzej ze studiów nad Stanisławem Augustem. Dalej byłiby już historycy związani z Polską przez małżeństwa mieszane lub o polskich korzeniach. D. Beauvois wymienia tu pięć nazwisk. Osobno wspomina o P. Buhlerze, pracowniku francuskiej ambasady w Warszawie, autorze 800-stronicowej historii komunizmu w Polsce wydanej w 1997 r. Za historyka uznać go byłoby jednak trudno. Toteż D. Beauvois pisze o „sieroctwie historii Polski we Francji”, choć to właśnie jego naukowa działalność sprawia, że nie jest ono rozpaczliwe.

Niemcy to przypadek zupełnie inny. Tu temat wziął na warsztat Michael Müller, świetny znawca naszych dziejów kilku przynajmniej stuleci. Gdy spadła aktywność pokolenia niemieckich badaczy historii Polski związanych z tradycją *Ostforschung* jej rozwój nad Renem wydawał się zagrożony. Odchodziło wszak pokolenie historyków urodzonych we wschodnich prowincjach pruskich i od dziecka władających językiem polskim. Czy po K. Zernacku i G. Schrammie utrzyma się wysoka dynamika tych badań? Czy młodszy badacze zdołają pokonać barierę językową? – takie pytania stawiano nad Renem jeszcze do niedawna. Szybko okazało się, że były to obawy przedwczesne. Lata 80. – i późniejsze – to gwałtowny wzrost publikacji poświęconych historii Polski wielokrotnie przewyższający odnośną historiografię nad Sekwaną czy Tamizą (nawet jeśli potraktować je łącznie). I nowe zjawisko: wielu niemieckich historyków mieszka i pracuje w Polsce, wielu polskich – w Niemczech. Publikują w obu językach. Wzajemne kontakty są intensywne, a ich liczba i rodzaj – trudne do ogarnięcia. „Najbardziej rozwinięty się badania nad tożsamością terytorialną, etniczną i kulturowo-religijną w państwie polsko-litewskim od średniowiecza” – pisze M. Müller i przypomina o monumentalnych studiach Karin Frierdich i Andreea Kosserta poświęconych ogólnie biorąc tożsamości regionalnej. Zagadnienia konfesjonalizmu na ziemiach polskich (niektórzy mówią nawet o epoce określanej tym mianem) to znów dziedzina, w której dorobek historiografii niemieckiej trzeba uznać za imponujący. To samo dotyczy nowszych syntez historii Polski – „krótkich, krótszych i najkrótszych”. Zazdrość po naszej stronie mogą budzić takie instytucje, jak Centrum Badań Humanistycznych poświęcone historii i kulturze Europy Środkowo-Wschodniej w Lipsku, czy Centrum Historii Porównawczej z siedzibą w Berlinie.

Rosja pod tym względem raczej przypomina Francję niż Niemcy. Swietłana Falkowicz z Moskwy dokonała przeglądu problematyki polskiej w opracowaniach rosyjskich od XIX w. włącznie. Polonofobii – pisze – koncentrowali się na wpływie katolicyzmu na polską mentalność, a nawet ustrój państwa. Ale byli i tacy (jak P. Ławrow), którzy w ustroju Rzeczypospolitej widzieli ideał demokracji. We wczesnych latach ZSRR na plan pierwszy wysunęły się niewiele warte studia nad polskim ruchem robotniczym i – chyba jeszcze słabsze – nad polskim socjalizmem. Po II wojnie światowej, w latach 1954-1958 ukazała się trzytomowa historia Polski pełna jeszcze marksistowsko-leninowsko-stalinowskich dogmatów. Na lepszym poziomie były badania nad średniowieczem (Griekow). Od lat 60. sytuacja ulegała stopniowo poprawie nawet jeśli chodzi o nowszą historię. Nadal jednak istniały „ograniczenia w terminologii” i tak zwany język ezopowy – napisała S. Falkowicz – „pomagał uczynom przekazywać czytelnikom prawdę, a większość z nich umiała z niego

korzystać". Istnienie tajnego porozumienia radziecko-niemieckiego w sprawie Polski z 1939 r. „zgodnie ze stanowiskiem radzieckiego kierownictwa”, odrzucono.

Od czasów *pierestrojki* wachlarz problemów badawczych podejmowanych przez rosyjskich historyków znacznie się rozszerzył. Pełniej i z większą bezstronnością przedstawiono problem stosunków polsko-rosyjskich w przededniu i w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Wydano zbiory źródeł (Kostiuszko, Czernych, Sawczenko) i odważniej przystąpiono do zbadania „białych plam” we wzajemnych stosunkach. S. Falkowicz pisze, że zajęcie się losem radzieckich jeńców wojennych po wojnie 1920 r. było „odpowiedzią na to, co stało się z polskimi jeńcami wojennymi, którzy zginęli w Katyniu”. To jeden z tych tematów naszej wspólnej historii, gdzie – jak widać – do porozumienia nadal daleko. *Krótką historię Polski* wydaną w 1993 r. określa autorka jako „przejściową”, jeśli chodzi o koncepcję ujęcia. Odnotowuje też, że w Kazaniu z końcem 2003 r. odbyła się obrona pracy doktorskiej W.J. Tumanina: „Jerzy Topolski jako historyk”, a to oznacza – stwierdza – że rosyjsko-polski dialog jest kontynuowany.

Alvydas Nikzentaitis reprezentuje historiografię litewską. Jak można podzielić wspólną historię? – zapytuje. Sprawa jest trudna. Przeszość litewsko-polska – stwierdza autor – „musiała być rozdzielona chociażby tylko po to, by w zupełności ukształtował się nowoczesny naród litewski”. Długo, bardzo długo w litewskich podręcznikach szkolnych za historię litewską uważano dzieje Wielkiego Księstwa Litewskiego do śmierci Witolda w 1430 r. Dalej było już gorzej. „Znajdźmy Litwinów w historii Litwy” – rzucił hasło A. Sapoka i w 1936 r. wydał pierwszą akademicką historię Litwy. Walka o niepodległość Litwy zaczyna się w niej w czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a unia lubelska po stronie Litwinów jest starciem patriotów ze zdrajcami. Po II wojnie światowej Litwa znalazła się granicach Związku Sowieckiego. Litwini zaś w podręcznikach szkolnych nieoczekiwanie znaleźli się wśród Słowian walczących z odwiecznym imperializmem niemieckim. W 1960 r. pola bitwy pod Grunwaldem odwiedził Nikita Chruszczow. Dziś, gdy oba państwa znalazły się w Unii Europejskiej jest nieco lepiej, a na dziedzictwo kulturowe Wielkiego Księstwa Litewskiego „patrzy się coraz bardziej pod kątem styczności kultur wielu narodów, nie eliminując z tego również pierwiastka polskiego” (*sic !!!*). Jak bywało z tym w okresie międzywojennym przypomniano całkiem niedawno. Oto litewski *attaché* wojskowy w Pradze przekazał stronie czeskiej kopię bitwy pod Grunwaldem Jana Matejki. Dodał do tego taki komentarz: „Przekazuję Państwu obraz znakomitego czeskiego malarza, który przypomina nam o ważnym zwycięstwie, jakie odniosły nasze narody w przeszłości”.

Olga Gorbaczowa zajęła się białoruskimi podręcznikami. Pisze ostrożnie, z niektórych fragmentów jej wywodów niewiele można się dowiedzieć, wiele natomiast można się domyślić: „szczególną rolę w białoruskiej historii odgrywa polityka rosyjska. Tłumaczy to specyfikę przedstawiania materiału dotyczącego dziejów Polski w tym okresie”. W najnowszej syntezie *Historii Białorusi* (Mińsk 2000-2002) Polska pojawia się dopiero za sprawą Unii w Krewie i po raz pierwszy może „nie jest to wyłącznie negatywna” charakterystyka Unii. Unia lubelska – co w każdym razie ciekawe – nie zostaje w tym ujęciu uznana za „realną” lecz personalną. W podręcznikach szkolnych zaraz po informacji o niej następują opisy „przejawów polskiej agresji (...) w stosunku do Wielkiego Księstwa Litewskiego”. Natomiast polonizację i katolicyzację warstw wyższych na Białorusi przedstawia się jako proces zakłócający rozwój narodowy warstw ludowych. Czytelnika polskiego nie zaskoczy chyba informacja, że przyłączenie ziem zachodniobiałoruskich do Związku Sowieckiego aktem z 17 września 1939 r. uznaje się w tamtejszej historiografii za prawomocne. Stwierdzeniu temu

towarzyszą opisy „kolonialnego stanu gospodarki ziem białoruskich” i upośledzenia politycznego Białorusinów żyjących w Polsce.

Obrazem dziejów Polski na Ukrainie zajął się znany lwowski badacz, autor opublikowanej niedawno ukraińskiej *Historii Polski*, Leonid Zaskilniak. Pomińmy tu jego przedstawienia sprawy w dawniejszej historiografii – w czasach Związku Sowieckiego niewiele różniące się od omówionej przed chwilą historiografii białoruskiej. Ukraińców i Ukrainę „integrowano” tam z dziejami Rosjan i Rosji, przeciwstawiając jednocześnie dziejom innych narodów, szczególnie Polaków.

W 1991 r. po upadku reżymu komunistycznego zaczął się na Ukrainie proces zwany „narodowym odrodzeniem”. W nastroju euforii zaczęły się próby „rozpaczliwego mitologizowania przeszłości Ukrainy”. W rezultacie na wierzch wyszło to, co – przynajmniej przejściowo – wyjść chyba musiało. Większość historyków ukraińskich Polskę i Polaków widzi wyłącznie przez pryzmat dwustronnych stosunków. Polacy są w takim ujęciu „niedobrym sąsiadem” stale usiłującym podbić Ukraińców lub zagarnąć ich „etniczne ziemie”. Przy czym tę czy inną ideę przypisuje się zawsze całej Polsce i wszystkim Polakom. Wewnętrzna historii Ukrainy też musi zastanawiać. Początki jej państwowości w historiografii ukraińskiej odnosi się bowiem do Księstwa Halicko-Wołyńskiego. W VII tomie wydawnictwa *Ukraina poprzez wieki* (z 1998 r.) spotykamy oryginalną koncepcję „ukraińskiej rewolucji narodowej XVII w.” wzorowanej na niderlandzkiej, zbiegającej się w czasie z angielską i wyprzedzającej amerykańską i francuską. W ogóle jednak linia zasadniczych podziałów jest jasna: Rosja stoi z boku, po jednej stronie jest „ukraińskie państwo Chmielnickiego”, po drugiej – „szlachecka Polska”. Dominują relacje polityczne. O jakiejś wspólnej przestrzeni kulturowej nie ma na razie mowy.

Tekst L. Zaskilniaka czyta się z satysfakcją. Imponuje on tyleż kompetencją badacza, co szczerością wypowiedzi. Należy więc mu wierzyć, gdy pisze, że ostatnimi laty sporo się pod tym względem zmienia. I że wielką szansę w świadomości Ukraińców ma nowy mit: o „pomyślności” Polski w przewycięzaniu komunistycznej spuścizny.

Obraz Polski w historiografii węgierskiej nakreślony przez Istvana Kovacsza, to już sprawa o wiele mniej skomplikowana i całkiem „nie traumatyczna”. Historię Polski Węgrzy dobrze znali przynajmniej od XIX w. Gdy w Królestwie trwało jeszcze powstanie styczniowe, na Węgrzech ukazała się praca Adolfa Kassaya: *Historia narodu polskiego od czasów najdawniejszych do epoki najnowszej*. Tę najnowszą symbolizował Langiewicz i – po części – węgierscy ochotnicy w insurekcji styczniowej. Ten wątek zresztą – wspólnej walki i podobieństwa losów – pozostanie aktualny przez wszystkie lata węgierskiej historii. W 1934 r. Polska i Węgry podpisały umowę o współpracy kulturalnej. W 1936 r. – jednocześnie – w Warszawie i Budapeszcie ukazała się praca: *Polska i Węgry. Stosunki polsko-węgierskie w historii, kulturze i gospodarce*. Rzecz, nie tylko co do rozmiarów, bezprecedensowa. Ani bowiem Węgom ani Polsce nie udało się wydać czegoś podobnego na spółkę z żadnym innym krajem.

Kłopoty w uzgodnieniu interpretacji niektórych aspektów wzajemnych stosunków zaczęły się dopiero w latach 50. XX w. Bema nad Dunajem zaczęto raptem przedstawiać jako wodza klasy robotniczej na Węgrzech. Potem – dwadzieścia lat później – wyraźnie nie radzono sobie z interpretacją roli Kościoła w Polsce, z wyborem Polaka na papieża i ze stanem wojennym (J. Popieluszkę przedstawiając na przykład jako „wichrzyciela”).

Od upadku komunizmu na Węgrzech wyrosło nowe pokolenie historyków zainteresowanych dziejami Polski i dobrze znającymi nasz język. Na rynku węgierskim mamy węgierskie

i polskie syntezy dziejów Polski. Znany podręcznik Andrzeja Paczkowskiego – pisze Kovacs – „całkowicie odpowiada oczekiwaniom naszego czytelnika”. Chyba tylko nad Dunajem zdanie takie możemy przyjąć jako całkiem naturalne.

W historiografii czeskiej aż tak dobrze może nie jest, ale na pewno ostatnio zwłaszcza widać wyraźny postęp. Dawniej – pisze Vykoukal – było rozmaicie i tę różnorodność czeski badacz ilustruje, powołując dziesiątki tytułów. Z okresu międzywojnia pochodzą dwie, tylko dwie monografie poświęcone dziejom Polski. Z powodów politycznych oba kraje niezbyt się sobą interesują. Czesi o Polakach wspominają głównie w związku z historią Czech, Polacy o Czechach – w związku z historią Polski. Choć brzmi to paradoksalnie w okresie dominacji ZSRR niewiele się pod tym względem zmienia. Wybór K. Wojtyły na papieża, a następnie powstanie „Solidarności” stwarza nad Wełtawą trudną do pokonania barierę ideologiczną (a po części także psychologiczną).

Dziś sytuację nad Wełtawą uznać trzeba za wysoce obiecującą. Pracuje wspólna polsko-czeska komisja humanistyczna. W przeszłość odchodzą stereotypy. Kontakty wzajemne są bardzo intensywne. Zastęp historyków czeskich zajętych historią Polski ma podziwu godne osiągnięcia.

W sumie – książka, jakich mało. Potrzebna nie tylko zawodowym historykom, ale także nauczycielom historii, studentom, uczniom i wszystkim zainteresowanym naszymi dziejami. Warto je od czasu do czasu zobaczyć cudzymi oczami. Najlepiej wtedy widać, jaką przeżyliśmy drogę.

Waldemar Łazuga

JACQUELINE BREUGNOT, MARKUS MOLZ (Hrsg.): *Europa konkret! Grenzräume als Chance für Bildungsinnovationen?*, Landauer Schriften zur Kommunikations- und Kulturwissenschaft, Bd. 8., Knecht Verlag, Landau 2006, 274 ss.

Chciałabym przybliżyć polskiemu czytelnikowi tom omawiający transgraniczność z perspektywy kilku dyscyplin z udziałem badaczy z wielu krajów europejskich. Opracowania i refleksje zawarte w tym tomie są ważne dla polskich badaczy wielokulturowości, narodowego sąsiedztwa i obszarów przygranicznych, ale też dla osób zajmujących się wypracowywaniem strategii jednoczenia się Europy, w tym wymianą młodzieży.

Czym byłaby Europa bez granic? Albert Raasch w przedmowie zwraca uwagę na to, że bez istnienia granic nie powstałaby różnorodność kulturowa dzisiejszej Europy. Bowiem to granica jest momentem konstytuującym tożsamość. Z drugiej strony jej niechlubna rola polegała na tym, że dość skutecznie uniemożliwiała wymianę międzykulturową. W jednoczącej się Europie granice tracą rację bytu i są formalnie likwidowane. Pomimo tego nadal zachowują swoją symboliczną moc i w konsekwencji stanowią barierę w kształtowaniu tożsamości europejskiej. Siła oddziaływania emanująca z granicy jest szczególnie odczuwalna w samej przestrzeni przygranicznej. Paradoksalnie to jednak tam redaktorzy tego tomu dostrzegają konkretne szanse na innowacje edukacyjne w Europie. Koncentrują się oni na